

# WILIAMS W 268 KRAKOWIE



**S**zkłana menażeria" grana przez zespół Teatru im. J. Słowackiego w salce na ul. Filipa nie wzbudziła zainteresowania krytyki, mimo, że afisz podpisał Lidia Zamkow. O ile łódzka prapremiera w sezonie 1946/47 w reżyserii Axera wywołała szeroką dyskusję — Zamkow sztuka Williama wyprzedziła niejako do popularnego repertuaru. Dla odbiorców, którym bliższe są ujęcia „Matysiaków” i „W Jezioranach”.

Nie gardząc weryzmem Williama (Zamkow chciała, zdaje się, rozegrać dramat Laury w takich kategoriach, aby stał się bliżki temu widzowi polskiemu, który chętnie lubi podglądać intymne życie rodziny z jego wszystkimi perturbacjami. I to ujęcie zaważyło chyba na obrazie całości spektaklu, w którym dominuje realizm Williama, pozbawiony jednak owej swoistej poezji, którą emanują bohaterowie „Szkłanej menażerii”.

Brutalność życia spychająca postaci sztuki Williama na marginesie odosobnienia i wyobcowania, typ egzystencji wyznaczonej mniejszym lub większym nasileniem kompleksów — wszystko to posiada w „Szkłanej menażerii” swoje źródło w rzeczywistości amerykańskiej. I to zupełnie wyraźnie określonej przez autora: akcja sztuki rozgrywa się w latach trzydziestych, a więc w czasach bezrobocia i kryzysu. Wyciszenie związków psychologicznych i obyczajowych z konkretną sytuacją społeczną i polityczną zatario w jakimś stopniu mechanizm rządzący bohaterami Williama. A przede wszystkim — jego złożoność i skomplikowanie. Bo każda z postaci „Szkłanej menażerii” noduje w sobie nie tylko narosłe kompleksy, ale też sporą dawkę bliżej nieokreślonej tęsknoty za czymś, czego brak w ich szarej, beznadziejnej codzienności. Nie wahał-

bym się nazwać tych właśnie tęsknot próbą twórczą innej sfery rzeczywistości, gdzie dostęp ma poezja, przynosząc ulgę czy chwilowe zapomnienie.

I tych momentów zabrakło mi w spektaklu krakowskim, wypełnionym ostrą, miejscami brutalną grą środków teatralnych, wyobcowujących beznadziejną monotonią i szarpaniną ludzką. Nie mógł przecież zastąpić tego braku piruet tańeczny „kalekiej Laury w stroju baletnicy”, która jawi się „Tomowi w ostatniej scenie spektaklu.

Tom (M. Nowakowski) rozgrywający swoje sceny w zamroczeniu alkoholowym nie wydobyl całej złożoności sytuacji człowieka, zagubionego, nie rozumianego ani przez własną matkę, ani przez środowisko. Goryczą narosły ból i rozczarowanie, targające jego psychiką, nie uzyskało waloru tragizmu ani przejmującego losu ludzkiego. Również postać Jima (T. Szybowski) otrzymała wymiar jednoznaczny. Obrysowany tylko biologiczną teźzną i witalnością, radością życia i umiejętnością przystosowania się. Bez dystansu i bez subtelności gry, Caja więc kulminacyjna scena między nim a Laurą — owa próba unicestwienia szkłanej menażerii — nie mogła zabrzmieć jak metafora. Dostojność odebrała tej scenie głębię i poezję, mimo delikatnej gry A. Górskiej (Laura). Jedyne Z. Jaroszevska (Amanda) potrafiła uchwycić klimat sztuki Williama. Obdarzyła Amandę szeroką skalą psychologicznych wcieleni, była w swoich obsesjach i kompleksach pełna zaborczości i zarazem beznadziejności, dobra i zła, wylewna i podstępna, zgrywająca się i dumna, trawiona ambicją, nawet — żądzą zmiłany losu córki. Zaw sze godna współczucia. I wzruszająca swoim garbem klęsk i niepowodzeń.